

Z DAWNEJ DANII

W skrawku jasnego nocnego nieba widocznym przez otwarty wywietrznik w grubym na sążen murze, świeciła mała gwiazda. Zdawać by się mogło, że spokój tej dalekiej gwiazdy budzi przeciwne nastroje w królewskiej głowie — król nie mógł spać.

Słowiki, które wypełniały były gaj swym upojnym, ogłuszającym trylem, zamilkły z nadejściem północy, cały świat pogrążył się w ciszy. Przez okno sączył się świeży, delikatny zapach wilgotnego listowia, wnoszący do alkowy króla posmak wielkich lasów. Zamarzyły mu się sarny spoczywające gdzieś tam na srebrzystej murawie między drzewami. Podchodził do nich bliźutko, ale bez łuku i strzał — nie myślał o zabijaniu. A może skrywała się wśród nich dziewczica zaklęta w sarnę — biała łania o złotych kopytkach? Może w głębi leśnej doliny spoczywał smok schowawszy straszny, osadzony na grzebieniastym karku, łeb pod skrzydło i słabo poruszając ogonem wśród krzaków malin?

Króla ogarnął dziwny nastrój, niewesoły, ciężki, bez nadziei. A jednak czuł się tej nocy silny jak nigdy, właśnie ta siła zdawała się go przygniatać.

Przebiegał w myśli różne zdarzenia ze swojego życia. Dziesięć lat temu w Ribe — miał wtedy lat siedemnaście — zobaczył Żyda Wiecznego Tułacza. Ksiądz spowiednik powiedział mu, że ów banita od dwunastu wieków przebywa właśnie w mieście i młody król polecił go sprowadzić. Gdy jednak wiekowy, zgarbiony we dwoje, poszarzały jak ziemia Ahaswerus ubrany w czarny kaftan rzucił mu się do stóp,

ulotniła się cała jego wściekłość na tego, który ubliżył Chrystusowi. Patrzył tylko w milczeniu i zdumiewał się.

„Jesteście szewcem z Jerozolimy?” — zapytał go wreszcie.

„Tak, Panie — odpowiedział Żyd z głębokim westchnieniem — byłem niegdyś szewcem w Jerozolimie. Szyłem trzewiki i sandały dla najbogatszych Żydów w grodzie i dla potężnych Rzymian. Małżonka namiestnika Piłata zamawiała u mnie pantofelki zdobione na czubkach chryzoprazami i rozetami”.

Król czuł tej nocy jasno straszliwą samotność starego Żyda, zupełnie jakby go widział wczoraj, a nie przed dziesięciu laty. Tylko role się odmieniły, to on był teraz Ahaswerusem. Tyłu wokół niego umarło w ciągu tych lat. Dzielni rycerze nie powrócili z wojen, ucichli towarzysze młodości jak milknące tony lutni, czarujące damy wystąpiły z tanecznego korowodu. Zobaczył błazna starego króla z małymi dzwoneczkami przy czapce skaczącego po stole i wykrzywiającego się do siedzących przy nim wielkich panów. I ten nie żył już od lat i nawet król dawno go już nie wspominał. Widział wzrok ściganego jelenia otoczonego przez psy, kiedy sam wbijał mu w serce nóż i obracał go. Z klarownych oczu zwierzęcia pociekły ciężkie łzy. Nie mógł jednak wiedzieć król, czy sam kiedykolwiek umrze.

Leciutki powiew poruszył korony drzew i trawy na dworze, lekko zafalowały opony rozwieszone w pobliżu otworu wyziernika. Nie mógł tego widzieć, ale wiedział, że ludzie i zwierzęta na tkaninie poruszają się teraz jakby wędrowali wzdłuż ściany.

Myśli króla powędrowały dalej, nigdzie nie znajdując spoczynku. Wspomnił jak serce jego rosło ze szczęścia, przepełniało się na polowaniach, turniejach, w tańcu, na wojnie. Powoli powracały wszystkie uciechy młodości. Lecz gdzie się podziało wino, które go rozweselało? Napełnić nim jego puchar nie leżało już w ludzkiej mocy. Oto był w swoim królestwie, Danii, samotny jak nieboszczyk w swoim grobie, tak samotny jak bywał w majakach albo we śnie. Od wielu lat toczył spory ze swymi lennikami, pragnienie okiełznania ich i narzucenia im swej woli towarzyszyło mu

przez lata — gorzki, pokrzepiający owoc, spożywany w samotności. Tu w orzeźwiającym uścisku cichej nocy, w słabym blasku gwiazdy za oknem, wszystkie te zmagania zdawały się ledwie grą przypadku, jak dziecięce zabawy i kłótnie. Potęgą, którą czuł w sobie, wołała o coś nieporównanie większego, czemu mógłby stawić czoła.

Myślał także o kobietach swego dworu, powabnych damach przemierzających w tańcu szachownice jego posadzek. Radowały jego serce ich tańce i śpiewy, znajdował niegdyś niebiańskie upojenie w ich ciałach, kiedy nagie niczym białe lilie spoczywały w jego ramionach. Tej jednak nocy żadna jego myśli ukoić nie mogła.

Smutno było władcy, że duszy swojej, tak mu drogiej, uradować już nie potrafi. Te troski i zmartwienia szczere o własną duszę, częste w jego młodości, wywoływały teraz wspomnienia wiosennych nocy z odległych lat. Wówczas kryły się za nimi tęsknoty i marzenia młodzieńca. Teraz, kiedy znał świat, napełniały go tylko gorzkim bólem. Na tej ziemi nie znajdował już dla swej duszy przyjaciela. Jego lennicy i chłopci, rycerze i klerycy — każdy oprócz niego mieszkaniec Danii miał komu powierzyć swe kłopoty i z kim dzielić radości, lecz król — komu miał otworzyć swą duszę? Wzniósł swoje myśli do Boga w niebie. Bóg musiał być równie samotny jak on, ba! bardziej jeszcze, gdyż większym jeszcze był monarchą.

Zerknął ponownie na odległą gwiazdę, tak czystą jak diament.

„Ave, Maris stella” — westchnął — „Dei mater alma”.

Spośród wszystkich pięknych kobiet, jakie kiedykolwiek stąpały po ziemi, Panna Najświętsza była jedyną, która znała i rozumiała jego serce, jedyną która w łaskawości swojej zrozumiałaby i oceniła jego miłość.

Stary Żyd, którego widział w Ribe musiał spotkać Świętą Niewiastę i mógłby mu ją opisać. Gdyby król urodził się wcześniej o dwanaście stuleci, mógłby sam pojechać do Ziemi Świętej i ujrzeć Marię Pannę na własne oczy. Czy młody król Danii zostałby wówczas konkurentem starego niebieskiego króla?

„Nie, Panie, nie!” — szepnął — „chciałby tylko nosić jej rękawiczkę przy swym hełmie. Pragnąłby tylko z opuszczoną lancą wieść swego rosłego siwego ogiera, zbrojnego w pancerz obok jej osła w drodze do Egiptu. Sam byś się wtedy, Panie, uśmiechnął do niego!”

„Jak doskonale — pomyślał król — osiągnął porozumienie z Bogiem. Jak serdecznym i bliskim jego przyjacielem mógłby się stać gdyby byli sami na świecie, gdyby nie dzieliła ich ludzka zarozumiałość, pycha i zazdrość”.

„O, Panie! — pomyślał król — czas bym się odwrócił od ludzi. Pora bym odrzucił od siebie wszystko, co stoi na drodze do szczęścia i zbawienia mojej duszy. Od tej chwili o nią tylko troszczyć się będę. Chciałbym raz jeszcze poczuć jak mnie unosi na skrzydłach i bierze w swe władanie”.

I oto zdało się królowi, że rozległ się głos potężnego dzwonu. Dźwięki otoczyły go jak morze, które zamyka się wokół tonącego, brzmiały tak potężnie, że nic na świecie nie dałoby się z nimi porównać. Uniósł się w łożu na kolana. Teraz już wiedział, rozumiał wszystko. Pojął, że to samotność jest jego siłą, bo sam stał się sobie całym światem.

Dzwon ucichł powoli. Nieco później, leżąc ze złożonymi na piersiach rękami zobaczył rozjaśniające się za oknem niebo i zbliżający się świt. Gwiazda przesunęła się w sam róg otworu wyziernika. Od gaju powiało chłodem, więc podciągnął jedwabną kapę pod brodę. Opadała rosa. Doszły go trzy pierwsze czyste tony śpiewu trznadla ze szczytu wysokiego drzewa, rychło w jego ślady podążą inne ptaki i w lesie zakuka kukulka. Król zapadł w sen.

Kiedy służący weszli rano, żeby obudzić go i ubrać — pa-dało. Król ocknął się z myślą o Granze, starym wenedzkim słudze jego ojca. Musiał mu się przyśnić w półśnie tuż przed przebudzeniem, bo szum deszczu brzmiał mu jeszcze w uszach jak cichy szept fal spływających po żwirze nadmorskiej plaży. Ojciec starego Wenedy został pojmany w niewolę na Rugii i przywiedziony do Danii przez samego biskupa Absalona. Przez całe swoje długie życie nie znał nikogo ze swych współplemieńców, a stary był jak granit. Dla Wenedów jednak lata liczyły się inaczej niż dla chrześ-

cijan, oni żyli całą wieczność. Przed dwudziestu laty stary niewolnik był jego najlepszym przyjacielem. Wspólnie spędzili na plaży wiele długich letnich dni, stary Weneda uczył go zastawiać kosze i kłuć węgorze dzidą przy świetle pochodni. Król nie widział go lata całe, ale dochodziły go słuchy, że stary samotnik wciąż żyje w swej chacie na brzegu morza.

„Pojadę tam — postanowił — by raz jeszcze go zobaczyć”. Od zarania swego życia, jak daleko zdołał sięgnąć pamięcią widział koło siebie starego Granze, słuszne było zatem i sprawiedliwe, by znów się pojawił. Stary Weneda wiedział niejedno, o czym lud duńskiego króla nie miał najmniejszego pojęcia.

Żywo miał jeszcze w pamięci nocne rozmyślenia, ale w sercu jego panowała pogoda i spokój. W świetle poranku odeszła mu chęć na dalsze medytacje, widział jasno wytyczoną sobie drogę — ba! sam był tą drogą, swoją prawdą i życiem.

Król zezwolił pokojowcowi, by zawiesił mu na ramionach ciężki płaszcz tkany rdzawą i błękitną nicią w desenie liści i ptaków. Gdy paż przypinał mu ostrogi dano znać, że książdz Sune Pedersøn przybył z Paryża. Sune Pedersøn wywodził się z rodu Hvide, do którego należało wielu z najbardziej zaciętych przeciwników władcy. Ale Sune był mu towarzyszem zabaw, razem uczyli się czytać i pisać. Sune był wówczas niższy o pół głowy od młodego księcia, dorównywał mu jednak, a czasem go nawet przewyższał w jeździe konnej, w strzelaniu z łuku i polowaniu z sokołem. Był przy tym miły, pojętny i nie znał uczucia lęku. Nie było go w Danii przez pięć lat, które spędził na studiach w Paryżu, z Francji jednak dochodziły króla słuchy o jego postępkach i poważaniu, jakie sobie zyskał tak wśród kleru jak i na dworze.

Sune wkroczył ubrany w czarny strój podróźny, ni to duchowny, ni to rycerski, przykląkł przed królem na kolano, lecz ten uniósł go zaraz i ucałował w oba policzki. Sune Pedersøn wyglądał na dorzecznego młodego księcia pełnego dystynkcji, o białych dłoniach. Do twarzy mu było

w jego stroju, jego małe delikatne usta ozdabiał pogodny uśmiech. Głos miał melodyjny, srebrzysty i wciąż jeszcze posługiwał się swoją bezpretensjonalną duńszczyzną tylko niekiedy wtrącając francuski zwrot lub pojedyncze słowo. Na wstępie wyraził swój podziw i zachwyt dla nowych kościołów zbudowanych w Danii i przekazał królowi pozdrowienia wysoko postawionych duchownych z Paryża. Wiózł także w prezencie rzadką relikwię — drzazgę z Krzyża Świętego w złotej szkatułce wysadzanej drogimi kamieniami, podarunek dla króla od Mateusza z Vendôme. Miał go jednak przekazać później w obecności najwyższych dostojników kościoła.

Rozmowę przerwał pisarz nadworny wchodząc z listą możliwych świeckich i duchownych, którzy upraszali go o audiencję. Król rzucił pobieżnie okiem. Oto widniały nazwiska tych mężów — pomyślał — którzy zmęcili spokój jego duszy sprzeciwiając się woli króla Danii. Czemu pozwolił na to? Poczł nagły ból jakby uświadomił sobie, że oddał rasowego wierzchowca w ręce prostych, nieobytych giernków. Przez chwilę stał, pogrążony w myślach. Za tymi nazwiskami krył się dumny szereg duńskich głów, a jednak miał ich w swojej władzy, od niego zależało tylko czy spadną z karków. Zwrócił pisarzowi listę z wiadomością, że dziś nie chce widzieć nikogo, gdyż wybiera się na przejażdżkę. Paź królowej wszedł z wiadomością, że jej najukochańszy piesek cierpi, królowa prosi, by przyszedł go obejrzeć. Król kazał ją powiadomić, że przyjdzie nazajutrz.

Król zaprosił Sune, by mu towarzyszył. Sune znał dobrze starego Granze i uśmiechnął się na jego wspomnienie, monarcha odpowiedział mu uśmiechem. Jasne i czyste były wspomnienia z dawnych lat, które wiązały go z Sune — pomyślał — razem zgłębiali tajemnice ksiąg i zdobywali sprawność w ćwiczeniach, świat wokół nich jednocześnie nabierał konturów. Wspomnienia związane ze starym Wenedą ginęły w mroku, gdzie poruszały się niewyraźne kształty i pachniało morską muszlami, był to okres kiedy na poły tylko jeszcze świadom był świata

i samego siebie. Uśmiech nie znikł z królewskiej twarzy, lecz przygasł jakby, myśli jego biegły już innym torem. Gdyby mu przyszło skazać jednego z tych ludzi na śmierć, która głowa spadłaby pod toporem? Stara sękata mózgownica czy ta młoda głowa zdobna w schludną tonzurę? Zwrócił się do Sune pytając czy ma posłać po wierzchowca dla niego. Sune odrzekł, że dosiadłby jeszcze bez lęku każdego konia z królewskiej stajni. Nie było jednak potrzeby posyłać po konia, albowiem miał konie ze sobą. W drodze z Francji zбочzył na Jutlandię, by złożyć odwiedziny swoim krewnym. Król zmarszczył czoło lecz rozpogodził się znowu. W chwilę później przecięli konno zamkowy dziedziniec przejechali bramę i fosę, podczas gdy strażnik na murze zadął w swój róg. Trzej giermkowie króla i psiarczyk oraz osobisty służący Sune podążyli za nimi, a król pozwolił swojej ulubionej charcicy Blanzeflor biec przy strzemieniu.

Jechali przez las. Na ociekających wilgocią drzewach rozwinęły się właśnie pąki, młode listowie miękkie i puszyste przypominało płatki kwiatów poruszające się słabo w orzeźwiającym leśnym powietrzu, jak wodorosła w głębokiej toni. Korony drzew pogrążały las w półcieniu przesyconym delikatną goryczą woni klonu i topoli. Zza zasłony deszczowego pyłu śpiewało zewsząd ptactwo, a kiedy przejeżdżali pod wysokimi drzewami gruchał poufale leśny gołąb. Z przydrożnych zarośli wyrżał lis, popatrzył przez chwilę na jeźdźców z opuszczonym do ziemi ogonem, a potem przemknął tuż obok jak maleńki rudawy płomyk zgaszony zaraz przez wilgotną trawę leśnego poszycia.

Król wypytywał o Paryż, a Sune odpowiadał mu rażno i wesoło. Uniwersytet nie jaśniał już wprawdzie tym blaskiem i sławą co przed stuleciem — powiedział — za czasów Abelarda i Piotra Lombarda, lecz duch tych wielkich mężów żywy był wciąż i bliski. Kto sam nie był w Paryżu — ciągnął młody kleryk — nie może wiedzieć ile radości dać może czerpanie wiedzy u samego źródła nauki i sztuki. Uniwersytet uzyskał wreszcie niezawisłość dzięki bulli papieskiej „*parens scientiarum*”. Przeszedł następnie

do opowieści o królu Francji i jego dworze. Król Filip był wielkim myśliwym, wraz z przyjacielem, dobrze urodzonym młodym klerykiem z Anglii, Sune gościł w królewskim pałacu St. Germain i brał udział w polowaniu na jelenie. Opisał szczegółowo przebieg polowania, psy i konie. Francuskie damy — powiedział — są równie odważne w siodle jak mężczyźni.

„A czy to prawda” — zapytał król — „co mówią o ich czarze i urodzie?”

„Tak” — odpowiedział Sune — „o ile osoba duchowna może to ocenić, nie ma w tym żadnej przesady. Są nad wyraz piękne, szlachetne, pobożne i wykształcone, czarujące i łagodne jak muzyka w mimice i wymowie. Ponad wszystkimi jaśnieje młoda królowa — Maria z Brabantu, biała lilia. Ma też wielki wpływ na swego Pana i szlachta francuska ufa obecnie, że uda jej się położyć kres haniebnym wpływom, które Pierre de la Brosse zdobył u francuskiego władcy wraz z ziemią i zaszczytami. Pierre wywdzięcza się jak najgorzej za łaskawość, sądzi się powszechnie, że próbował otruć młodego księcia Ludwika, następcę tronu”.

„Tak to bywa na tym świecie — rzekł król — wierność stała się rzadkim gościem w królewskich pałacach, o ile nie w ogóle na tej ziemi”.

„Masz rację Panie — odrzekł Sune — bo jakiej też wierności może oczekiwać król Filip, skoro obdarza zaszczytami pańszczyźnianego, cyrulika swego ojca, z pominięciem szlachty lennej”.

Powrócił do paryskich kościołów. Opisał królowi La Sainte Chapelle, wzniesioną przez króla Ludwika. Święte to zaiste miejsce i człowiek czuje się w jego wnętrzu jak w raju. Sune zmieszał się, mówił coraz wolniej aż wreszcie zamilkł zupełnie. Młody las na Zelandii — ile razy zdarzało mu się we Francji widzieć go we śnie, uważał go przecież za piękniejszy od najpiękniejszego kościoła. Teraz jednak, kiedy jechał tym lasem w łagodnym wiosennym deszczu, poczuł że mu ciężko na sercu, że tęskni do Paryża, do rzeczy których poza tym miastem nie było nigdzie

indziej na świecie. „Jak w raj” — powtórzył sam do siebie.

„Powiedz mi Sune — odezwał się król — czy wolą Boga jest, aby ludzie nigdy nie byli szczęśliwi, tam gdzie są, lecz zawsze musieli tęsknić do miejsc gdzie ich nie ma, choćby te miejsca nawet w ogóle nie istniały? Ptaki i zwierzęta cieszą się ziemią taką, jaka ona jest — czy dla ludzi, których Bóg na niej umieścił miałyby być za marna? Dla chłopów wiecznie zlorzeczących swojej ciężkiej doli, dla możnych i baronów, którym nigdy nie dość, dla młodych księży wzdychających pośród zielonego lasu za rajem? Czy żaden człowiek — powiedz Sune — czy ani jeden z tysięcy żyjących na ziemi nie osiągnął tej zgodności z Bogiem, by mógł powiedzieć: »rozwiązałem zagadkę tego świata, uczyniłem z ziemi swój dom i dobrze mi z tym«”.

„Panie — odrzekł Sune klepiąc konia po szyi — stara to skarga ludzkiego rodu. Przez tysiąclecia wołali do Boga w niebie: »Panie Nasz, który stworzyłeś ziemię i nas na niej, nie wiesz jak ciężki los przypadł nam na tym padole. Nie wiemy jak pogodzić serca nasze, wedle Twojej woli i planu stworzone, z prawem świata tego, który powstał według Twego planu i woli. Nigdzie na tej ziemi nie znajdujemy tej sprawiedliwości, pokoju i szczęścia, których natura pragnąć nam każe. W wiecznych zmaganiach tracimy nasze siły. Pozwól nam poznać Twoje zamiary wobec świata i ludzi, daj nam zrozumieć! Ukaż rozwiązanie zagadki tego życia!« Ich wołanie dotarło do uszu Boga, a ten rozważył sobie skargę i spytał dobrych aniołów, których zsyłał na ziemię, by czuwali nad kolejami ludzkiego losu: »Czy zaprawdę lud mój na ziemi tak okrutnie cierpi, jak sam powiada?« Anioły odpowiedziały mu: »Zaprawdę cierpi Twój lud na ziemi«. Pomyślał tedy Pan: »Zawodne bywa świadectwo sługi. Uzałem się nad ludem swoim i pragnę na własne oczy ujrzeć jak się rzeczy mają«. Przybrał na się postać człowieka i zstąpił na ziemię. Uradowali się dobrzy aniołowie i rzekli sobie: „Oto uzał się Pan

nad ludźmi. Wreszcie nauczył tych głuchych i ślepych, nie-
szczęsnych śmiertelnych jak zostać bogatymi, szczęśliwy-
mi i bez trosk, jak my jesteśmy w niebie«. Minęły trzy-
dzieści trzy lata — dla mieszkańców niebios tyle, co jedna
godzina. Wówczas Pan powrócił na swój niebieski tron
i wezwał do siebie aniołów, którzy przylecieli ze wszyst-
kich stron nieba, ciekawi bowiem byli wieści. Bóg wygła-
dał nadzwyczaj młodo. Kiedy uniósł dłoń, by nakazać ci-
szę, ujrzeli, że jest przebita. »Drogie anioły — rzekł im —
powróciłem oto z mej wędrówki po ziemi, widziałem jak
żyją ludzie, nikt tego nie wie lepiej ode mnie. Uzałem
się nad nimi i przyrzekłem, że im pomogę. Nie spałem
i nie odpoczywałem, nim nie spełniłem mojej obietnicy.
Ustanowiłem zgodę między ludzkim sercem a prawem tego
świata, na którym go umieściłem. Nauczałem prostodusz-
nych, nieświadomych śmiertelnych jak będą prześladowa-
ni i obmawiani, jak zostaną opluci i obdarci ze skóry. Na-
uczyłem jak będą wieszani na krzyżu. Ukazałem im roz-
wiązanie zagadki tego życia, jak mnie o to prosili. Dałem
im odkupienie«”.

Król słuchał z początku nieuważnie, w miarę jednak jak
Sune snuł swoją przypowieść zasłuchał się i uśmiechnął do
siebie. „Nie darmo — pomyślał — nadłożył Sune drogi
i odwiedził dumnych krewniaków w Møllerup. Oto młody
ksiądz starał się pouczać króla Danii, że pokora należy do
boskich przymiotów. Tyle mógł król oczekiwać od tych,
których zwał swoimi przyjaciółmi — podążali u jego boku,
lecz ku własnym myślom i zamiarom”.

Słuchał jednak głosu Sune z przyjemnością — taki był
miękki, srebrzysty i melodyjny. „Nie — zdecydował —
w żadnym razie nie będę jemu szkodził. Postaram się na-
wet, by nie wyjeżdżał już do Paryża. Chcę go zatrzymać
przy sobie, by mógł mi opowiadać swoje niezrównane
opowieści. Chcę mieć przy sobie obydwo: Sune i Granze,
i obydwa będą mi wiernie służyć.”

„Tak — rzekł głośno — zapewne Pan mógłby tak po-
myśleć. Czy jednak nie za łatwo się zadowolił, czy na-
prawdę poznał ludzką dolę do końca? Czemu będąc na

ziemi poznał tylko rybaków i rzemieślników? Czy nie mógł, skoro już tu był, zakosztować także doli możnego pana, ba! nawet króla? Nie mógł chyba uznać, że poznał wszystko o życiu ludzi na ziemi, skoro ani razu nawet nie dosiadł konia. Czy mamy wierzyć, że nie pamiętał iż sam stworzył wierzchowce, jelenie, żelazo, upojną muzykę, jedwab i wino?"

Zajęci rozmową dojechali do miejsca, gdzie las stał się niższy i rzadszy, miejsce dębów i klonów zajęły wątle, poגיęte brzoźki. Tu i ówdzie przeświecały otwarte polany porośłe wrzosem, leśna droga zamieniła się w wąską piaszczystą ścieżynę. Deszcz ustał. Minęli skraj lasu i ruszyli galopem przez pas trawy porośły z rzadka karłowatym głogiem. Dwa gawrony maszerujące godnie w niskiej trawie poderwały się przy ich zbliżeniu. Przed nimi rozpościerały się nierównej wysokości wydmy, a kiedy wjechali na nie, zobaczyli przed sobą morze.

Król wstrzymał konia i spojrział przed siebie. Powiało mu w twarz słonym morskim powietrzem i ogarnęła go ciepka woń wodorostów. Zaczerpnął głęboko powietrza i zadziwił się, że od tak dawna nie był nad brzegiem. Przez chwilę morze ośwładnęło wszystkie jego myśli.

Wiosenny dzień zasnuty był mgłą, cała jednak przestrzeń wypełniona była, niczym szklany dzwon, rozmigotaną poświatą i wiecznym śpiewem morza, głębokim szumem z oddali — dziwnie to brzmiało przy tej bezwietrznej pogodzie, ale to szła fala na pełnym morzu, wczoraj i przedwczoraj wiało; przy samym brzegu szemrała woda spływając po kamieniach i zostawiając pianę. To był ten sam szum, który król słyszał rano we śnie.

Morze i niebo zlewały się wzdłuż całego widnokregu w nierówną, zamazaną linię. Ku zachodowi morze miało barwę ołowiu, ciemniejszą niż niebo, ku wschodowi zaś zdawało się jaśniejsze niż powietrze, jak gdyby przyćmione lustro. Ku północy jednak morze i niebo stapały się bez śladu w jedną bezmierną przestrzeń obejmującą wszechświat. Gdzieś w oddali wiązka promieni słonecznych znalazła sobie lukę pomiędzy skłębionymi chmurami

i w zetknięciu z taflą wody zamieniła ją w żywe srebro, jakby ławica srebrnych rybek bawiła się pod powierzchnią. W pół drogi do linii horyzontu rozciągnął się w długą linię klucz dzikich łabędzi, jak spieniony grzbiet fali zawieszony w powietrzu.

Jeden z ludzi króla, znający dobrze okolicę, obiecał wskazać miejsce, gdzie znajdowała się chata starego niewolnika. Chatka była jednak tak mała i tak zbliżona kolorem do brzegu, że poznali ją dopiero po sinawej smużce dymu, wznoszącej się prosto w powietrze z jej stożkowatego dachu. Nie opodal leżała na piasku ciemna, pękata łódź Granze, a zjeżdżając z wydmy ujrzeni też właściciela łodzi i chaty. Granze we własnej osobie brodził po kolana w wodzie ciągnąc za sobą przez falę duży ciężar, miał widać bogaty połów. Kiedy dostrzegł nadjeżdżających, przyłożył dłoń do czoła i przez chwilę patrzył nieruchomo, po czym pociągnął swój łup dalej. Ubrany był w rodzaj kitla z koziej skóry, który podwinął aż do pasa odsłaniając ciemne pokrzywione członki, tak mało podobne do ludzkich, że młodzi ludzie z orszaku nie umieli powstrzymać śmiechu. Na owłosionych, płaskostopych nogach doczłapał do brzegu, parsknął i otrząsnął się jak zmokły pies i złożył wielką rybę na piasku u swoich stóp. Potem rozwiązał swój fartuch i pozwolił mu opaść aż do kostek. Czekał bez ruchu na gości, którzy wesoło zjeżdżali ku niemu. Kiedy byli już zupełnie blisko, koń Sune spłoszył się i wysforował przed królewskiego wierzchowca. Nie patrząc na króla Granze położył rękę na strzemieniu Sune.

„Czy to ty Sune, krewniaku Absalona przybywasz tutaj? — powiedział — a ja myślałem, że nie żyjesz”.

„Z Bożą pomocą nie całkiem jeszcze umarłem” — odrzekł z uśmiechem Sune i uspokoił swego konia. Granze popatrzył na niego uważnie.

„Jednak dziewięć miesięcy temu niewiele ci już brakowało” — dodał.

„To prawda” — powiedział Sune i spoważniał. Granze milczał przez chwilę wreszcie zachichotał.

„Kobieta uwarzyła ci napój i dodała do niego trucizny

na szczury. Cóż to, za szczura cię wzięła mój mały Sune? Gdyby szczury trzymały się tych dziur, które Bóg im przeznaczył, ludzie by ich nie truli”.

Sune zbladł i siedział na swoim koniu bez słowa.

Król posunął się koniem bliżej starego niewolnika, złoto błyszczało na jego płaszczu, pochwie miecza i derce pod siodełkiem.

„Cóż to, nie poznajesz mnie Granze, synu Gnemera?” — spytał.

„Jak mógłbym cię nie poznać księżę Eryku? — odrzekł Weneda uroczyście — choć zbladłeś bardzo od czasu kiedyśmy się ostatnio widzieli. Już na szczycie wydmy poznałem twoją postać”. Długo spoglądał królowi w twarz.

„Witaj — zawołał wreszcie — i bądź błogosławiony, Panie, zaszczyt czynisz wielki wiernemu słudze twego ojca przybywając do niego w odwiedziny. Chodź, napij się ze starym Granze — mam to samo piwo, które piłeś tu poprzednio, a może nawet lepsze. Z rana złowiłem wielką rybę, którą upiekę dla ciebie. W chacie wędzą się ryby w dymie, ale rozniecę ogień na kamieniach przed domem. Zsiądź z konia i zjedz jeszcze raz posiłek z Granze”.

Zniknął w głębi chaty i wynurzył się ponownie z przeruconym przez ramię bukłakiem z czarnej koziej skóry.

„Zawołaj swego psa — krzyknął podtańcowując dziwnie, kiedy królewska charcica zaczęła obwąchiwać jego nogi nie odstępując go na krok — piękna ona jest i chyża, na pewno wiernie ci służy, kiedy polujesz na jelenie, ale nas niewolników psy wielkich panów nie kochają”.

Uniósł ciemny, wytłuszczony bukłak na wysokość warg króla, który siedział jeszcze na koniu. „Pij!” — zaprosił.

Król nie pamiętał już smaku piwa, które Granze warzył, choć wiele lat temu kosztował go w jego chacie, teraz jednak zapach przypomniał mu widok niewolnika, który po opróżnieniu swojego bukłaka tańczył i porykiwał w ciemnym wnętrzu. Piwo szczypało w język i napełniało żyły dziwną błogością. Granze przytrzymał bukłak, żeby Sune też mógł się napić, wreszcie przyłożył do swoich warg, odrzucił głowę do tyłu i wypił do dna.

„Teraz jesteśmy przyjaciółmi! — powiedział — różne mogą być nasze myśli i zamiary, ale woda, którą oddamy będzie ta sama”.

Król jadąc zamierzał zapytać starego o przyszłość, ale stracił jakoś ochotę, wydawało mu się to teraz niepotrzebne. Przyszło mu do głowy, że on i Granze więcej mieli ze sobą wspólnego niż ktokolwiek z pozostałych mieszkańców Danii: — niewolnik uprowadzony ze swego plemienia, nigdy nie znający żadnego rodaka i król, samotny pośród swoich sług i dworaków. Bardziej byli osamotnieni niż pozostali ludzie, a jednocześnie mądrzejsi, bliżsi tajemnym mocom życia.

„Samowładcą tu jesteś, Granze — rzekł król — jak okiem sięgnąć świat należy do ciebie. Na swój sposób nie ustępujesz dawnym pustelnikom, którzy szli w pustynię lub tkwili na szczycie słupa, by słać Boga. Tyle, że ty nie Panu na Niebie służysz, a staremu jednookiemu bożkowi z czarnego drewna, którego trzymasz w chacie. Pamiętaj go dobrze”.

„Nie, nie — zaprzeczył gorliwie Granze i spojrzał w stronę Sune’go. — Granze został polany wodą. Granze się uczył i słyszał o tej co urodziła, a jednak była panną, tak jak słońce przenika szybko w wasze okna nie rozbijając ich. I o tym co leżał w brzuchu ryby. Spójrz!” — krzyknął triumfalnie i powolnym, uroczystym ruchem uczynił znak krzyża.

„Rozetrzesz głupca na miazgę w mózdzierzu — rzekł Sune do króla po łacinie — a głupota i tak go nie opuści.”

Sune zeskoczył z konia i przytrzymał królowi strzemień. Ludzie króla zsiadli także i odwieśli konie na bok. Służący rozpostarł kapę na wielkim kamieniu, by władca mógł spocząć.

Granze wyniósł z chaty żar w żelaznej misie, węgiel drzewny i długi rożen. Kucnął na piasku i zabrał się z wielką wprawą do rozniecania ognia. Rozdmuchiwał żar spluwając, kiedy popiół leciał mu w twarz i zerkał przez dym w stronę swoich gości. Uniósł czarną kostkę torfu, zaśmiał się i powiedział: „to było kiedyś drzewem i rośło

w ziemi, zanim jeszcze pierwsza kura w twoim kraju zdążyła znieść jedno jajko”.

„To musiało być dawno — odrzekł król — nie pamiętam tego drzewa wcale, Granze”.

„I ja bym go nie mógł pamiętać, gdybym był tobą — rzekł Granze — ale z nami Wenedami to inna sprawa. To co wydarzyło się ojcom naszych ojców i to co wcześniej jeszcze przydarzyło się tym, co gryźli już ziemię, kiedy oni zaledwie ssali pierś swoich matek, chowamy jeszcze w naszej pamięci i możemy z niej wydobyć, kiedy chcemy. Ty masz we krwi chuci i lęki twoich przodków, ale nie masz ich doświadczenia i mądrości, bo nie umieli tego przekazać, kiedy płodzili swoje dzieci. Teraz każdy z was musi zaczynać od nowa, jak ślepe kociątka szukacie sobie drogi po omacku”.

„Dawno temu — ciągnął — wiele rzeczy, które dziś są martwe miało swoje własne życie. Wśród lasów i bagien rosły stare, omszałe i spróchniałe pnie, które posiadały dar mowy. Nie słyszałem co mówią, ale kiedyś idąc ścieżką w zimową noc widziałem wiekowy pień olchy, który głośno chrapał przez sen. Ogromne kamienie z morskiego dna wychodziły na brzeg przy pełni księżyca, woda ociekała z przyczepionych do nich wodorostów i muszli, a one biegały na wysięgi i parzyły się na brzegu.

Ludzie musieli ścinać drzewa w wielkich puszczech, żeby zdobyć ziemię pod uprawę. Ho! To była dopiero ciężka robota! Moje ręce do dziś są sękate od tego znoju — czemu nie miałyby i w mojej pamięci zostać sęki? Drwale wygrzebali sobie niewielkie schronienie do spania u stóp wysokiej sosny, ze zmęczenia skurczyli się do rozmiarów leśnych myszy i tak siedzieli wokół swego ognia, który w leśnej nocy jarzył się jak robaczek świętojański. Wówczas nadleciał wiatr, usiadł na szczycie drzewa i zaśpiewał: »śnieżne pola, kamienne pola, wielkie, wielkie lasy, szerokie morza, puste, puste przestrzenie! Bardzo wielki jest świat, bez końca!« Pieśń spływała po pniu i zanosila się skargą: »dosyć, dosyć wiecznego lotu, gdzież kres mej wędrówki?« I nagle wiatr rzucił się w dół, zajązrał do ludz-

kiej nory i zawołał: »Ho, ho! Wy mali ludzie! Wy mrówki, robactwo! Wystarczyłoby dmuchnąć, byście polecieci aż nad wielkie morze, w ciemność — i co by wtedy było z wami?« Dmchnął im w oczy dymem i popiołem i już go nie było”.

Król siedział na kamieniu wsparłszy podbródek na dłoni i patrzył na morze. Kasztanowe włosy spływały z odkrytej głowy aż na gruby złoty łańcuch na piersi. Jak daleko mógł okiem sięgnąć w jedną i w drugą stronę ciągnął się pas brzegu pokryty muszlami i kamieniami. Nie rosło tu nic, jałowa ziemia porzuciła tu wszelką myśl o rodzeniu, królowała tu nieskazitelna, naga pustynia. To musiał być początek albo koniec świata.

Pomyślał o statkach, które od stuleci odbijały od duńskich brzegów, kierując się we wszystkie strony świata. Tu wznosił żagle Knud wyruszając na podbój Anglii, Waldemar odpływał stąd do Estonii, biskup Absalon kazał budować statki, by pozełgować na podbój Wenedów. Szerokie wody znaczyły szlaki wojen i podbojów. A wojna między ludami, myślał król, to wielkie dzieło, zwycięstwo wieńczy królewską sławę. Dziś jednak wydawało mu się, że to wszystko należy do przeszłości, że nawet morze i ziemia ogłuchły na echo dawnych dni. Jego królewscy przodkowie umarli i zostali pogrzebani — dawno już spoczęli w kopcach grobowców. To nie surmy bojowe dźwięczały w szumie fal, lecz coś więcej, to była pieśń wieczności wznosząca się ponad życie i ponad śmierć. Ten raj, o którym mówił Sune, istniał może tam w dali, gdzie morze spotykało się z niebem.

Mocny napój i blask ognia nadały twarzy Granze koloru czerwieni. „Powiem ci teraz — zwrócił się do króla — dlaczego bałem się do ciebie odezwać, kiedy cię ujrzałem na wierzchołku skarpy. Kiedy skierowałeś konia w dół, twoją głowę otoczyła jasna aureola, taka jak na obrazach twoich świętych. Skąd ją wzięłeś?”

Ogień palił się już wesoło, a smużka dymu rzuciła na piasek ruchliwy cień. Granze wstał i poszedł przywlec rybę do ogniska. Chwyciwszy za skrzela przytrzymał ją przed sobą pionowo, sięgała mu niemal głowy.

„Oto ryba dla wielkiego Pana — wykrzyknął — takiego co jeździ w aureoli. Przebyła dla ciebie daleką morską drogę”. Wyciągnął nóż, wytarł go o suknię i jednym ruchem rozplatał brzuch ryby, kładąc ją na piasku, po czym zanurzył rękę aż po łokieć w jej wnętrznościach.

„Prawdę powiedział, Panie — zwrócił się Sune do króla — zaiste nie zapomnieli Wenedowie kunsztu swoich przodków. Myślę, że tak musieli wyglądać kapłani Światowida składając mu ofiary w ludziach. Zdumiewająca to rzecz — podjął po chwili — jakie przyczyny na tym świecie budzą ludzki zachwyty. Jedzenie ma tę władzę nad biednym, wino nad bogatym. Na polowaniu i w walce władzę tę nad ludźmi ma krew, w czasie pokoju ich własne dzieci, kiedy je widzą błyszczą im oczy, jak temu tutaj. Taniec — zakończył — budzi ten zachwyty w kobietach”.

Na nieosłoniętej plaży głos Sune nie był już tak układny i modulowany jak w komnacie, czy w zaciszu leśnym. Brzmiał nierówno, stawał się niekiedy chropawy i szorstki jak u chłopca. Granze nabrał śmiałości pod działaniem napoju i wyszczerzał się do nich w uśmiechu. Nagle przestał czyścić rybę i zamarł jak posąg. Jego twarz wyrażała kompletne osłupienie. Wydostał czerwone prawe ramię z wnętrzności ryby, podniósł rękę, spojrział, splunął i potarł rękę o suknię raz i drugi.

„Ho! — zawołał, a głos jego ze zdumienia zabrzmiał gęboko jak ryk byka. — Ryba ma w brzuchu dar. Przyniosła ci pierścień z dna morza. I niech kto powie, że Granze nie umie łowić ryb!”

Sune skoczył na równe nogi i wziął pierścień od niewolnika. Upadł na kolana przed królem i podał mu go.

„Cześć i chwała królowi Danii! — zawołał — żywioly służą Ci i płacą haracz nim go jeszcze zażądałeś! Oto ryba przyniosła ci złoty pierścień, tak jak niegdyś królowi Polikratesowi”.

Król ściągnął z dłoni haftowaną rękawiczkę i pozwolił, by Sune włożył mu pierścień na palec.

„Nie pamiętam już naszych szkolnych nauk, Sune — wyznał król — które nauczyciele z takim mozołem wbijali

nam do głowy. Jak też brzmi historia króla Polikratesa?

„Polikrates — rzekł Sune — był królem Samos i słynął z tego, że szczęście nie odstępowało go nigdy. Zapragnął kiedyś zawrzeć sojusz z królem Egiptu — Amadisem, lecz ten lękał się sławy Polikratesa i postawił warunek, by w pierw odrzucił część swoich bogactw. Wówczas Polikrates, by go zadowolić, cisnął do morza swój najcenniejszy klejnot — sygnet, który nosił. Jednakże następnego dnia odnalazł go w brzuchu świeżo złowionej ryby. Kiedy dotarło to do uszu Amadisa, ów nie przystał na ugodę z Polikratesem”.

„A co się z nim stało?” — zapytał król.

„W jakiś czas później — ciągnął Sune — Polikrates wybierał się do Orontesa, który władał Magnezją. Córka, ostrzeżona przez sen, błagała swego ojca, by zaniechał podróży, lecz król nie chciał jej słuchać”.

„I co? — zapytał król, a Sune odpowiedział — i wtedy, Panie, kazał Orontes zabić Polikratesa”.

„Lecz ja — powiedział król po namyśle — nie usiłowałem nikogo pozyskać ciskając do morza kosztowności, ani nie wyzywałem fortuny”.

„Nie, Panie — przyznał Sune z uśmiechem — twój pierścień jest darem samego losu, morze przyniosło Ci go z własnej chęci. To co Tobie się przydarzyło, zda się przysługą historykom bardziej jeszcze niezwykle, niż historia Polikratesa”.

„Powiedz mi tedy Sune — rzekł król — przez naszą dawną przyjaźń, jak też tłumaczysz to wydarzenie?”

„Panie — rzekł Sune, poważniejąc — to wiem tylko, że wszelkie zdarzenia nabierają znaczenia zależnie od stanu umysłu tych, którym się przytrafiają, żadne zewnętrzne wydarzenie nie jest jednym i tym samym dla dwóch różnych ludzi na tej ziemi. Jesteś moim królem i panem lennym, lecz nigdy nie byłem twoim spowiednikiem i nie znam twoich myśli”.

Król pogrążył się w milczeniu. „Kiedy Granze znalazł dla mnie ten pierścień — powiedział wreszcie — myśli

moje były przy królu duńskim Knudzie Wielkim. Nigdy nie zapomnisz tego, czego się uczyłeś, Sune; pamiętasz więc pewnie jak to król Knud przemawiał do morza i nakazał mu się uciszyć — jak brzmi ta opowieść, Sune?"

„Tak, pamiętam historię króla Knuda — rzekł Sune — a był to zaprawdę wielki król. Zmęczony pochlebstwami służalców zapragnął pokazać im, że także władza monarcha ma swoje granice. Postawił krzesło na piaszczystym brzegu morza i kazał falom, by odstąpiły, lecz fale morza, Mój Panie, wznosiły się i opadały jak zawsze, a mądrość króla przyniosła wstyd pochlebcom. Zaprawdę nie był Knud większym królem niż właśnie w owej chwili!"

„Tak — powiedział król — lecz gdyby morze go posłuchało Sune? Gdyby go jednak posłuchało?"

Nastąpiła długa cisza.

Król uniósł dłoń i spojrzał na swój pierścień. „Kamień w tym pierścieniu — rzekł — jest błękitny jak samo morze”.

Sune uniósł z uszanowaniem palce królewskie i nagle znieruchomiał wpatrzony, aż wreszcie król przerwał mu: „Na co patrzysz?” Sune puścił jego dłoń.

„Na Boga Żywego! — powiedział niskim czystym głosem — jest to rzecz tak przedziwna, że ledwie śmiem Ci o niej powiedzieć. Widziałem niedawno pierścień taki sam jak ten, na dłoni mojej krewnej, małżonki marszałka twojego Stig Andersena!"

„Na jej dłoni?" — zdziwił się król.

„Tak — potwierdził Sune — zaklinam się na Święty Krzyż, na jej prawej dłoni”.

„Jak nazywa się ta krewna?" — zapytał król.

„Ingeborg" — odrzekł Sune.

„Jak to może być, Sune?"

„Nie wiem, Panie. Byłem u jej małżonka, marszałka na Møllerup w Mols tydzień temu, kiedy przybyłem z Francji. Któregoś dnia wybraliśmy się łódką na niewielką wyspę zwaną Hjelm, nieznacznie oddaloną od lądu, należą do posiadłości marszałka. Był piękny wiosenny dzień, morze było błękitne, a pani Ingeborg siedząc na ławeczce zanurzała dłoń w wodzie. Jej palce były tak gładkie

i smukłe i pierścień trzymał się tak luźno, że poprosiłem, by zechciała uważać, bo mogłaby go zgubić, a nigdy nie dostałaby już takiego pierścienia”.

Król spojrział na klejnot i uśmiechnął się: „A więc ryba, którą złowił Granze — rzekł — przybyła do nas morzem z naszego jutlandzkiego kraju”.

Po chwili dorzucił jeszcze: „Wiele słyszałem o piękności twojej krewnej, sam jednak nie widziałem jej nigdy, czy istotnie jest tak cudna jak powiadają?”

„Tak, Panie, jest cudna” — odpowiedział Sune.

„Czemu powiedziałaś jej, że nigdy nie dostałaby już takiego pierścienia?” — spytał. Sune uśmiechnął się. „Panie — rzekł — znam moją piękną krewną od dziecka, nauczyłem ją grać na lutni i bawić się szachami. Często zbytkowaliśmy razem. Powiedziałem jej żartem, by uważała, bo nie znajdzie innego kamienia, który błękitem dorównałby jej oczom”.

„Piękne to i szlachetne — odrzekł król — że pani Ingeborg przesłała mi ten pierścień za pośrednictwem swojej rybki. Będę go nosił na palcu prawej ręki, nim nie nadarzy mi się okazja, by go zwrócić!”

„Przedziwna to jest rzecz, Sune — dodał po namyśle — że kiedy piękne kobiety zdobią w szlachetne kamienie swoje szyje lub dłonie, kamienie zdają się przejmować część ich istoty, jakiś rys twarzy lub postaci. Perły zdają się tylko odbijać biel i przejrzystość szyi i piersi. Rubiny i granaty zmieniają się w usta, koniuszki palców lub brodawki piersi. A mój błękitny kamień — powiadasz — jest jak oczy tej Pani”.

Granze powrócił do ogniska i stamtąd śledził rozmowę, wodząc głową od jednego do drugiego z rozmówców. Teraz zawołał do króla: „Spójrz Panie! Ryba pływała i została złowiona, teraz jest usmażona i przygotowana. Tobie, Panie pozostało ją tylko zjeść. Już pora, twoje jadlo czeka na Ciebie!”